Radosław Romaniuk: „Jesteś tym, co potrafisz z siebie zrobić”

Zygmunt Mycielski widział w swoim przyjacielu, Andrzeju Panufniku, ofiarę systemu, dbając na ile mógł o jego dobre imię w kraju i wspierając swym korespondencyjnym kontaktem – pisze dr Radosław Romaniuk w artykule dla „Teologii Politycznej Co Tydzień" nr 97: Polska Republika Listów

Jeżeli potrafią Cię złamać okoliczności czy ludzie, warunki czy trudności jakieś,
to byłeś podatny na złamanie. Ale gwiazdę trzyma się w sobie –
– i źle z tym, kto ją zakopie, nie dojrzy, nie umie rozdmuchać jej ogni.

Przywołane zdania Zygmunta Mycielskiego padają w liście do Andrzeja Panufnika obok słów „ból”, „choroba”, „Żdanow”, „urodziny”, „życie”, „śmierć”. A z kontekstu wynika, że pisząc tam jeszcze o „ślicznej historii”, która „nie będzie trwać wiecznie” – myśli przede wszystkim o kolejnym zaostrzeniu kursu ideologicznego w sztuce. Był lipiec 1953 roku. Dokładnie rok później Panufnik opuścił kraj. Komunistyczna propaganda odpowiedziała na ów akt „zdrady” kampanią szkalującą kompozytora, który do końca życia zachował niezagojone blizny z tego okresu. Tym ważniejsza, że odosobniona, była postawa Mycielskiego, który widział w przyjacielu ofiarę systemu, dbając na ile mógł o jego dobre imię w kraju i wspierając swym korespondencyjnym kontaktem. Tom ich listów z lat 1949-1969, opracowanych przez Beatę Bolesławską-Lewandowską, wydał Instytut Sztuki PAN. Nie był to kontakt bezpieczny i oczywisty, dlatego w pierwszym roku emigracji kompozytora Mycielski pisał do Panufnika jako do „Stasia”, przesyłając przez francuskich przyjaciół nieadresowane listy. Pisał w nich o swych twórczych planach, ale i o samotności i niepewności, „zwłaszcza odkąd straciłem przyjaciela, z którym mogłem o tych rzeczach rozmawiać”. Sytuacja Panufnika nie była zresztą lepsza, choć nie pozwalał sobie na skargi, widząc wyraźne plusy zakończenia przedwcześnie „ślicznej historii”. „Po ciężkich i ponurych latach spędzonych w Australii,

dochodzę stopniowo do równowagi” – donosił szyfrem. Od tego czasu w oczach Mycielskiego autor Muzyki jesieni stanie się przykładem zwycięskiej walki z przeciwnościami losu, aktywnego przemienienia rozmaitych życiowych „ślicznych historii”.

Nie było jednak tak, aby drogi obu korespondentów w 1955 roku nie rozeszły się. Mycielski przyznaje Panufnikowi prawo do komponowania swojego życia, ale sobie rezerwuje poczucie, że mieszkanie w kraju posiada większy gatunkowy ciężar. „Inny świat, ale w jakiś sposób mówi się tu o tym, co jest naprawdę, udaje się mniej” – pisze. Sam emigracyjny dylemat rozstrzygnął w 1945 roku, kiedy po latach spędzonych w oflagu i okresie pracy przymusowej w Niemczech znalazł się w Paryżu. Trudno byłoby o człowieka, który tak nadawałby się do emigracji – spędziwszy wcześniej nad Sekwaną wiele szczęśliwych lat, ustosunkowany zarówno w świecie artystycznym, jak i na arystokratycznych salonach, doskonale znający język i posługujący się uniwersalnym językiem muzyki. Mycielski wrócił – zrobił to w dużej mierze z powodu matki, która wywłaszczona z dworu w Wiśniowej, mieszkała w bardzo skromnych warunkach w Krakowie. Towarzyszył jej w ostatnich latach życia i po jej śmierci pozostał w kraju, przenosząc się do Warszawy. Widział w swym miejscu na ziemi pewien fatalizm i wyznając wiarę w nieskończone możliwości kreacyjne w życiu, jakby wyłączał spośród ich działania możliwość zmiany świata na świat inny. W chwili pesymizmu pisze do Panufnika: „Miałeś rację. Ta ziemia jest przeklęta. Ja tu siedzę i siedzieć będę. Co zrobić mogę… Męczymy się strasznie”.

Wyobrażenia korespondentów na temat męki „tu” i męki „tam” również prędko rozmijają się. W listach z Londynu (ich autor już przestał być „Stasiem”) dość szybko zaczynają pojawiać się formuły: „u was”, „u nas”, co Mycielski komentuje dopiskiem na marginesie listu kompozytora: „«Staś» się ośmiela, co?”. Nie uznaje za konieczne podzielenie się tym wrażeniem ze swym korespondentem, widząc – słusznie – w tych uwagach zapis chwilowego nastroju przyjaciela. Będzie w listach utrwalonych tych złych chwil więcej. Kąśliwy, pielęgnujący uprzedzenia, niewyrozumiały i nadwrażliwy Panufnik stanie się adresatem epistolarnych kazań o tym, że ludzi oceniać trudno, bo istotą jest sfera ich wewnętrznej wartości, że należy się im kredyt zaufania, a gdy go zawiodą, wybaczenie. Oczywiście napotyka tu

czasem na obiektywne trudności – jak wtedy, gdy obecni w Londynie polscy kompozytorzy boją się skontaktować ze swym niedawnym kolegą, a w przypadku niektórych i przyjacielem.

Dynamika biografii Panufnika i Mycielskiego układa się inaczej. Życie pierwszego zmienia się, on sam je odmienia. Drugi życiowo praktycznie pozostaje w miejscu, w którym w 1949 rozpoczyna się ta korespondencja. Zacznijmy jednak od punktów wspólnych. Ich sytuację łączy fakt, że dla chleba muszą poświęcać swój czas na obowiązki, które odciągają ich od tego, w czym spełniają się naprawdę – od komponowania. Panufnik dyryguje, pracując po osiemnaście godzin dziennie. Mycielski redaguje „Ruch Muzyczny" i pisze felietony. Obaj – zauważa autor Muzyki jesieni – robią to dobrze, i na tym właściwie polega problem.

W tym wspólnym wyścigu z okolicznościami życiowymi Mycielski zdaje się na początku wygrywać. Jako pierwszy otrzymuje prestiżowe kompozytorskie wyróżnienie na konkursie w Monaco. Będzie członkiem jury, które parę lat później wyróżni Symfonię sacra Panufnika. To jednak kompozycja przyjaciela – i dzieła kolejne – zdobędą europejskie sale koncertowe. W tej trudnej psychologicznie sytuacji pomaga Mycielskiemu niezachwiane poczucie własnej wartości i wagi tego, co robi oraz niekłamany podziw dla twórczości swego korespondenta. Z Warszawy sekunduje więc wykonaniom jego utworów, studiuje ich partytury, a gdy ten przygotowuje płytową edycję *Symfonii sacra*, fotografuje rzeźbę Madonny ze swoich zbiorów i zdjęcie to ukazuje się na okładce płyty, nadając tej kooperacji fakt symboliczny. Panufnik ma swą symfonię, Mycielski w mikroskopijnym mieszkanku przy Chmielnej patrzy na gotycko-ludową Madonnę.

Autor *Sacry*, którego ominął polski Październik i kolejne miesiące, nie do końca rozumie atmosferę życia artystycznego kraju. Nie dostrzega wartości Warszawskich Jesieni. W nadsyłanych mu na życzenie Mycielskiego egzemplarzach „Ruchu Muzycznego" (a były to najlepsze lata tego dwutygodnika) widzi jedynie bezrefleksyjne zachłystywanie się pozbawioną wartości muzyką z Zachodu. Śledzi przemilczenia na swój temat, a wywalczone przez redakcję wzmianki interpretuje w najgorszy możliwy sposób. Kilka razy zwraca się do przyjaciela z prośbą, aby mu „Ruchu" nie posyłano. Można nawet podejrzewać, że jego

niechęć dostrzeżenia jakichkolwiek pozytywów w kraju jest rodzajem mechanizmu obronnego. Panufnik zbiera argumenty za tym, że opuszczając Polskę postąpił dobrze. Mycielski – że dobrze zrobił zostając. Autor *Muzyki jesieni* zresztą nie czuje się dobrze również na Zachodzie. Próbuje na swoich warunkach istnieć w świecie muzycznym sterroryzowanym przez awangardę („Adorno i towarzyszy" – jak ich określa Mycielski) i ma wrażenie, że uciekając od jednego dogmatyzmu, wpadł w drugi. Lektura krytyk (zarówno w języku polskim, jak i po angielsku), w których stwierdza się, co jest „dzisiejsze", „słuszne" i „wartościowe", co idzie „po linii" – przywołuje niepokojące wspomnienia. Żartuje ponuro, że gdyby mieszkał w Polsce, pozostałoby mu prosić o azyl w Moskwie, która wszak broni tradycji muzyki europejskiej – z Brahmsem i Czajkowskim, wyrzuconymi gdzie indziej z parostatku współczesności. Oczywiście Brahms i Czajkowski są tylko przykładem twórczości, w której treść poetycka była ważniejsza niż treść akustyczna – jak ujmuje Panufnik swoje kompozytorskie credo, które łączy go z aksjologią muzyczną Mycielskiego.

Warszawski kompozytor nieco spokojniej traktuje estetyczne przemiany współczesności, choć i on czuje się ofiarą mody, i zdarza mu się stwierdzić, że jego „dwie symfonie i Lirnik to przy tych Brittenach (które grają po całym świecie!) wręcz genialne rzeczy". Potrafi jednak ten metafizyczny skandal wyjaśnić. „To nie ma nic wspólnego ze sztuką, tym bardziej z muzyką – pisze – ale ma coś wspólnego z… filozofią, jest zjawiskiem jak dadaizm (…), który pojawia się w danej chwili, w danym miejscu". Stąd popularność awangardy, jej wzięcie i arogancja – to sztuka stworzona tu i teraz. Nie potępiając więc a priori stylistycznych poszukiwań, brał w nich udział chętniej niż jego angielski korespondent. Wierzył w muzykę – jak w momencie, w którym pisał słowa: „A jest co wyrażać! W muzyce można wszystko wyrazić, wszystko".

Losy przyjaciół rozchodzą się na jeszcze jednym praktycznym poziomie. Panufnik w 1963 roku, po ślubie z młodą Angielką Camillą Jessel, przeprowadza się do należącego do jej babki osiemnastowiecznego domu w Twickenham pod Londynem. Małżonkowie tworzą podmiejskie otium, w którym kompozytor może poświęcić się pracy, a ta przynosi mu coraz większe międzynarodowe uznanie. Z obiektu trosk autora Lirnika mazowieckiego, staje się obiektem jego dobrodusznej ironii. „Widzę, że jesteście tam, jak Alfred

Potocki w Łańcucie! – pisze o Twickenham. – Czy w Anglii nie powinieneś jeszcze… jeździć konno?”. Zaskakuje go jednak niechęć Panufnika do wykorzystania owych warunków. Nie prowadzi on „otwartego domu”, nie przyjmuje przedstawicieli angielskiego muzycznego świata, chroni prywatność, nie pociąga go jazda konno, a nawet wydaje się nie przepadać za ludźmi. Tym bardziej rzucają się w oczy emocje, jakie wywołuje w nim perspektywa spotkania z Mycielskim, jego zabiegi o wyłączność na towarzystwo przyjaciela, który w Londynie miał inne bliskie osoby. Jego przywiązanie osiąga także wymiary praktyczne. Oprócz listów, przesyła na Chmielną paczki – kawę Nesca i puszkowane ananasy. Mycielski odwzajemnia się książkami i partyturami. Prezenty z Londynu spotykają się jednak z większym zainteresowaniem.

Pierwszy tom *Korespondencji* zamykają listy z 1969 roku. Panufnik po raz drugi zostaje ojcem. Mycielski być nim przestaje. „Śliczna historia” uwolniła go od obowiązków redaktora stworzonego przezeń dwutygodnika. Jeśli ta coraz trudniejsza praca dawała mu satysfakcję, żalu raczej nie okazuje. Pisze głównie o pliku partytur, ukończonych i niedokończonych, jakie leżą pod jego fortepianem, o perspektywach wyjazdu do Nieborowa, Sopotu, Łańcuta, które urealnia przyznana mu amerykańska nagroda Fundacji im. Jurzykowskiego. Czuje, że jest tym, co potrafił z siebie zrobić, a jeśli czegoś nie zrobił – oznacza, że nie potrafił. Ma pragnienia i plany. „Nie chcę grzęznąć w filozofiach nieszczęścia i bezradności – pisze – ale widzieć chcę, jaki piękny jest świat, jaki piękny, w porównaniu z Księżycem na przykład!”

Radosław Romaniuk

Radosław Romaniuk (ur. 1975) – literaturoznawca, edytor. Autor m.in. biografii Jarosława Iwaszkiewicza *Inne życie* (t. I 2012, t. II 2017), także współautor lub autor opracowania ośmiu tomów listów, esejów, przekładów i dzienników Iwaszkiewicza, Miłosza i Jeleńskiego. Pracuje nad przygotowaniem korespondencji Jarosława Iwaszkiewicza z Zygmuntem Mycielskim.